

Filip Springer: Miasto Archipelag (fragment)

Tak, ruiny mają to do siebie, że dość łatwo jest się w nie zapatrzeć. W pogruchotanych murach można wręcz dojrzeć uzasadnienie wszelkich niepowodzeń. Z rozrzuconych bezładnie cegieł, z poskręcane go żelastwa bez końca da się kleić kolejne nekrologi. Że było i nie ma. I dlaczego? W imię jakiej sprawy? I że tylko ten żal został, taki cichy smutek przewiewany wieczorami po pustych ulicach. W miastach, które straciły swoje kopalnie, opowieść o przyszłości musi przebrnąć przez ruiny. Spacer po gruzowisku to chrzest bojowy dla tych wszystkich, którzy mają odwagę fantazjować o tym, co będzie.

Stoimy na koronie stadionu i patrzymy na najsmutniejsze ruiny Wałbrzycha. Na płycie murawy ganiają za piłką jakieś szczawiki. On ma twarz mędrca i oczy, w których gniew miesza się z melancholią.

Poza świeżą trawą nie ma tu nic, co mogłoby napawać nadzieją. Tak to wygląda. Jak okiem sięgnąć pokruszony beton trybun pamiętających jeszcze wizytę Hitlera w 1932 roku. I Wałęsy w roku 1980. I tamten październikowy dzień roku 1983 kiedy czterdzieści osiem tysięcy ludzi zdierało sobie gardła, a Górnik pokonywał Wisłę Kraków i zostawał mistrzem rundy jesiennej. Wałbrzych tamtego dnia chodził pijany nie tylko ze szczęścia. Tego nie ma.

– Wałbrzyskie Koloseum – mruczy pod nosem i pociąga z butelki, którą chował w kieszeni.

– Tak tu na to mówią? – pytam.

– Nie, no ale to widać, że Koloseum, wystarczy przecież popatrzeć – rzuca i odchodzi w swoją stronę. W krzakach pod chylącym się płotem czekają już koledzy. Ruin, w których można ckliwie rozpamiętywać tamtą prześwietność, jest tu więcej. Taksówkarze najchętniej opowiadają o modernistycznym hotelu Sudety. Nocowały w nim największe gwiazdy polskiej estrady. Podobno Manaam zrobił tu po jednym z koncertów taki kipisz, że trzeba było wyremontować całe piętro. Inna znana piosenkarka biegła zaś po pobliskim parku w pijanym widzie i dość rozrzutnym negliżu. Wtedy Sudety były centrum towarzyskiego życia, lokalnym drapaczem chmur, symbolem wielkomiejskości i nowoczesności. Dziś to tylko ponure, łuszczące się i zabite dechami gmaszydło nieopodal dworca Wałbrzych – Miasto. Niemy świadek wielkiej ucieczki.

Pod koniec lat osiemdziesiątych w Wałbrzychu mieszkało sto czterdzieści jeden tysięcy ludzi. Nad miastem górowało trzydzieści siedem kopalnianych szybów, dookoła osiedli rosły hały, węglarki z mozołem toczyły się zgrzytliwie przez całe miasto. Rok 1989 rozpoczął tu rozłożoną na raty zapaść. Podsumowano ją dekadę później, gdy miastu odebrano status stolicy województwa. Od tamtego czasu populacja miasta skurczyła się o dwadzieścia pięć tysięcy ludzi. Dziś nie ma tu ani jednej kopalni, a ostatnia ocalała po tamtej rzezi koksownia przerabia węgiel importowany z Czech.

– O tej godzinie, proszę pana – mówi mi taksówkarz, gdy jedziemy przez miasto – to Wałbrzych był pełen ludzi, autobusy nabite, że palca nie wciśniesz, jedni jechali do roboty, inni wracali, bo przecież kopalnie pracowały non stop. A ci, co akurat nie pracowali, bawili się na tańcach.

Sobota to były dla taksówkarzy cotygodniowe żniwa. A teraz? Pan jesteś dzisiaj moim drugim klientem.

Kwietniowy wieczór na osiedlu Podzamcze. Na parkingu kilka dostawczych samochodów otoczonych taśmą i uwijający się wokół ludzie. Dyryguje nimi rosły, brodaty blondyn w bluzie z kapturem. To Nullo, czyli Patrycjusz Kochanowski, jedna trzecia wałbrzyskiego rapowego składu Trzeci Wymiar. Za chwilę będą tu kręcić teledysk do najnowszego klipu. Dookoła pałętają się wyrostki w czapeczkach z prostymi daszkami, na balkony wychodzą zaciekawieni mieszkańcy.

„Nikt nas nie pytał/ Nikt nic nie ustalał/ Choć każdy wiedział, że ten świat dawno oszalał” – rapuje w jednym ze starszych kawałków Trzeci Wymiar, a na ekranie przewijają się ponure kamienice i zapuszczone wałbrzyskie podwórka. To tradycyjne tło dla klipów nie tylko tej ekipy. Wałbrzyska scena hip-hopowa ma się całkiem nieźle, jak wszędzie tam, gdzie transformacja zostawiła złogi szczerego wkurwienia.

– Miałem kilkanaście lat, któregoś dnia ojciec przyszedł z kopalni i powiedział, że już nie ma pracy. Dostał odprawę i zrobił to, co wielu jego kolegów – kupił samochód – mówi Nullo. – Nagle miasto górników stało się miastem taksówkarzy, tylko nikt już nie miał pieniędzy, żeby tymi taksówkami jeździć. Stali całymi dniami i czekali nie wiadomo na co. Matka co popołudnie chodziła na postój pytać taty, czy zarobił już na obiad. Nie zawsze wracała z odpowiedzią, na którą w domu czekaliśmy.

On sam na jakiś czas wyjechał z miasta. Gdy wrócił, kilku jego kolegów już nie żyło.

– Alkohol, narkotyki, depresja, samobójstwa. Nie wszyscy dawali radę.

Ludzie ratowali się, jak mogli. Komu starczało sił, ten wygrzebywał węgiel na własną rękę. W najbardziej dramatycznym momencie w biedaszybach pracowało tu kilka tysięcy ludzi, w tym wielu jego rówieśników. Szesnastowiecznymi metodami wydzielali ziemi to, z czego nowa Polska dobrowolnie zrezygnowała. Ich umorusane twarze i spracowane dłonie stały się nieoficjalnym symbolem miasta. Jedynym i wystarczającym wizualnym idiomem. Dziś w ten sposób pracuje tu garstka ludzi, ale dziennikarze nadal przyjeżdżają, by o nich opowiadać. Jakby inne oblicza Wałbrzycha nie były nikomu potrzebne.

Dla dzieciaków, które teraz kręcą się po planie nowego klipu Trzeciego Wymiaru, to wszystko nie ma jednak większego znaczenia. Górnictwo to dla nich jakaś mglista zaprzeszczość, która ani trochę ich nie dotyczy. Może nawet nie wiedzą, że jeszcze piętnaście lat temu w mieście wydobywano jakiś węgiel.

– I dobrze – mówi Nullo – tego, że kiedyś było świetnie, nie pamięta już prawie nikt. To, że potem było kurewsko źle, idzie pomału w zapomnienie. I w końcu można się spokojnie zająć tym, co będzie.